

— Co się tu dzieje? — zapytał skwapliwie urzędnik. — Sir, mister Vanderhook, co to ma znaczyć?

Ale nie otrzymał odpowiedzi. Czoło pokryło mu się zmarszczkami, oczy przymrużył, zagryzł wargi, zdawało się, że zbiera wszystkie siły, aby skierować je na jeden punkt i przebić chaos napływających myśli. Wyprostował się i podszedł do szefa, ale, zanim usta otworzył, z zewnątrz dał się słyszeć jakiś szmer, drzwi się otworzyły i policysta stanął jak skamieniały, do posągu podobny, jakby w ziemię wrósł.

Na progu ukazał się młody, nadzwyczaj przystojny mężczyzna, przytem niezmiernie wysoki. Wysokość jego stanowczo przenosiła sześć stóp. Twarz jego zdobiła wspaniała czarna broda, a z pod filcowego kapelusza spływały krucze włosy. Jego duże, piwne oczy spoczęły w jednej chwili na rozbitej kasie i wpiły się w nią w niemem zdziwieniu. Jedną nogą stanął w pokoju, druga zatrzymała się na progu. Kiedy podniósł rękę, aby zdjąć kapelusz, na palcu można było zobaczyć wspaniały pierścień, ozdobiony wielkim, błyszczącym brylantem.

Policysta podszedł do szefa, na którego obliczu malowało się kolejno uczucie trwogi, zdziwienia i zwątpienia i zapytał ostro:

— Kto jest ten pan, sir?

— To mój syn, mister Miles Vanderhook — odrzekł starzec grobowym głosem i wyprostował się.

— A zatem — ciągnął dalej urzędnik, pokazując przybyłemu blaszaną odznakę policyjną i jednocześnie położywszy dłoń na jego ramieniu — a zatem, mister Miles Vanderhook, w imieniu prawa aresztuję pana, ja, kapitan policyi nowojorskiej. Zbliży się pan, obecnie jesteś moim więźniem.

III.

Kapitan nowojorskiej policyi, jedenastego obwodu, Ulisses Tomson, siedział w swoim gabinecie przy biurku, pogrążony w myślach. Przed nim stał detektyw Cool, z ołówkiem w ręku, jakby czekając, co jego szef powie. Po chwili podszedł cicho do szafy, wyjął z niej mapę jedenastego obwodu nowojorskiego i rozłożył ją przed kapitanem. Ten, spojrzawszy na nią, rzekł:

— Masz pan rację. Niech mi pan jednakże zda raport, byle krótko.

— Wiesz pan już wszystko, kapitanie. Znalazłem wszystko tak, jak pan przypuszczałeś. Złodzieje przeleźli przez żelazną bramę pod numerem piętnaście, o tu — rzekł, wskazując na mapę — przeszli przez dziedziniec, przeleźli mur, oddzielający go od numeru siedemnastego i stanęli przed oknem banku. Jedyne odkryciem, mając pewną wagę, jest fakt, że okno było w ten sposób obrobione, iż złodzieje mogli je wyjąć razem z ramą i kratami. Znalazłem ślady stóp trzech mężczyzn, dwóch wielkich, jednego mniejszego, a dalej tę szmatę, będącą, zdaje się, częścią chustki z kolorowym szlakiem. Oto jest.

Bacznym wzrokiem przyglądał się kapitan podanej mu szmacie, poczem zawinął ją w papier, na którym napisał parę wierszy i pakiecik ten włożył do wypełnionej już papierami wielkiej urzędowej koperty.

— Dobrze, panie Cool. Niech pan zawoła innych. Udzielę im pewnych instrukcji i niech się rzecz ta sama dalej wyjaśnia.

Detektyw Cool otworzył drzwi i wpuścił pięciu panów, ubranych po cywilnemu w zwyczajne mieszkańskie ubrania, którzy w milczeniu stanęli przed swoim przełożonym.

— Panowie — rzekł kapitan — sierżant Coolawiadomił was już o tem, co zaszło. Pozostaje mi zatem tylko wyznaczenie każdemu z panów placówki. Pan, mister Blade, udasz się w towarzystwie Coola na poszukiwanie za Billem Crookeym tym włamywaczem kas; szczególnym sposobem widziano go dzisiaj jeszcze w tym obwodzie. Polecam jednak panom wszystko robić bez przesady. Nie aresztujcie go, tylko obserwujcie na każdym kroku i zdajcie mnie raporty. Pan, mister Oven Torry, wstąpisz jako buchalter do banku pod firmą Robert S. Vanderhook i będziesz uważał na ludzi, tam zajętych. Mister Vanderhook, syn i powiernik szefa, mister Zygmunt, są wtajemniczeni we wszystko i wiedzą o tem, że pan przyjdiesz. A panowie, mistres Wilden, Schmidt i Loser, panowie obejmiecie straż nad firmą. Mister Wilden będzie pilnował młodego Vanderhooka, mister Schmidt starego, a mister Loser powiernika, mister Zygmunta. Wszyscy trzej bowiem są podejrzani. Nie ulega wątpliwości, że jeden z nich był z włamy-

waczami w porozumieniu. Dlatego trzeba nad nimi czuwać bez przestanku, oczu z nich nie spuszczać. Ludzi będziecie panowie mieli do rozporządzenia tyłu, ilu zechcecie. Główną rzeczą jednak, moi panowie, tyczącą się wszystkich, od Billa Crookeya do mister Zygmunta, jest: Żaden z nich nie może miasta opuścić, ani też zniknąć policyi z oczu. A teraz, panowie, na stanowiska. Szczęść Boże!

— Szczęść Boże! — odrzekli chórem detektywi i spieszny krokami opuścili pokój. Tylko Cool na skinienie kapтана pozostał i czekał.

— Widzisz pan, sierżancie — rzekł kapitan — dobrze ich weźmiemy. Ale tu dla pana jeszcze jedno zlecenie. Jeśli faktem będzie to, co przypuszczam, no, to wtedy może nam pomódz jedynie *detektyw P.* z szóstego obwodu. Musimy go sobie pożyczyc. Cóż pan na to?

Szpakowaty sierżant uśmiechnął się.

— Ma pan rację, kapitanie. Jeżeli włamywaczom rzeczywiście młody Vanderhook drogę pokazał, to detektyw *P.* jest tu koniecznie potrzebny. Czy mam zanieść rozkazy do szóstego obwodu?

— Tak jest. Oddaj pan kapitanowi tę kopertę,



Na progu ukazał się młody nadzwyczaj przystojny mężczyzna, przytem niezmiernie wysoki.

IV.

Popołudnie na Broodway w New-Jorku.

Ruch, jaki się tylko w miastach amerykańskich daje zauważyć. Ruch wszędzie, na środku ulicy, przed wspaniałymi wystawami sklepów i ruch na górze, ponad ulicą. Wozy, wózki, dorożki i wspaniałe ekwipaże krezusów amerykańskich tworzą wraz z tysięczną masą przechodniów nad wyraz barwną mozaikę. Ponad głowami przechodniów pędzą z łoskotem pociągi napowietrznej kolei, której słupy tworzą na ulicy rodzaj nowoczesnej, żelaznej alei. Na dole istna rzeka głów ludzkich; jedni idą na prawo, drudzy, w inną podążający stronę, na lewo; tak chce samorząd praktycznej ludności nowojorskiej. Wielką część elegancko ubranych panów i pań stanowią murzyni i niejedna, wspaniała, a nawet zbyt koźownie wystrojona dama, widziana z tyłu, nie różni się niczem od swych białych siostr. Biada jednak, kiedy odwróci głowę!

Ciarki przechodzą wtedy białoskórnego elegancika, który szedł za nią, jak za zjawiskiem, oczarowany jej ruchami i postacją, jeśli przypuszczalna Wenus ukaże mu swoje mięsiste wargi, płaski nos i wylakierowaną skórę. Czarnoskórzy dżentelmeni, których tu także pełno na każdym kroku, rzucają się w oczy wykintnością swojej garderoby. Niema tu nic z proletaryatu murzyńskiego, zamieszkującego specjalną swoją dzielnicę, osławioną Bleekerstreet. Tutaj każdy ubrany elegancko; spodnie w paski, biała kamizelka, doskonale skrojone angiezy, wysokie, lśniące cylindry, a nad tem wszystkim dominuje nadmierna ilość złotych pierścieni i łańcuszków. Biali obywatele Nowego Jorku czują się wobec tego blasku zażenowani, ale patrzą na nich z góry, z pewnego rodzaju lekceważeniem, jak na dzieci. Bo też to są dzieci. Młoda cywilizacja, rozciągająca się zaledwie na jedno pokolenie, nie mogła ich zmienić. I uroczę *ladies* białolice ignorują swoje czarne siostry. Ich brylanty i perły im nie imponują.

Na rogu Broodway, w miejscu, gdzie się Avenue krzyżuje z Broodway, stała młoda, wysmukła kobieta i badawczym wzrokiem obserwowała olbrzymi pałac narożny. Sądząc po jej postaci, nie mogła liczyć więcej, jak 18 lat. Ubrana była skromnie, w suknię niebieskiego koloru i czarny żakiet. Czarna woalka, spadająca z małego, ale eleganckiego słomkowego kapelusika, zasłaniała twarz jej w zupełności. Nie zdolała jednakże zakryć jej błyszczących, ruchliwych oczek, które z uporem wpaływały się w narożny dom. Wogóle robiła wrażenie kobiety, która, choć młoda, musiała dawno obracać się między ludźmi i nabyła przez to niewymuszonej a faktycznej elegancji światowca, nie tracąc jednakże przez to ani krzty ze swej kobiecości.

Olbrzymi dom narożny, który młoda dama obserwowała, był właśnie domem, w którym się mieścił bank Roberta S. Vanderhooka. Po chwili spuściła oczy z budynku, rozejrzała się po ulicy i wolnym krokiem udała się do banku. Na prawo od wejścia znajdowała się tam wielka sala, przegrodzona baryerą, za którą siedziało około 40 urzędników, każdy przy swoim biurku. Jeden z nich podszedł do baryery i skinął na nią, aby się zbliżyła.

— Pani sobie życzy?

— Chciałabym mówić z mister Milesem Vanderhookiem.

— Aha, z młodym panem Vanderhook — *all right!* — Niech się pani przedewszystkiem zwróci do mister Zygmunta, dyrektora tego biura, on tam siedzi w kącie, w samym rogu. Widzi pani? Tam.

Mister Zygmunt zrobił kwaśną minę, kiedy młoda dama przed nim stanęła.

— Moja pani, dziś, niestety, nie będzie pani mieć szczęścia — rzekł, rzucając przelotne spojrzenie na dziewczę — zgaduję bowiem, o co pani chodzi. Poszukujemy obecnie młodej damy, umiejącej pisać na maszynie i pani chce objąć tę posadę; nie prawdaż?

— Ja prosiłam tylko, czybym się nie mogła widzieć z panem Milesem Vanderhook — odpowiedziała wymijająco.

Mister Zygmunt zaczął kiwać głową.

— Well, czy chodzi o jakie sprawy, tyczące się interesu?

— Naturalnie!

— A godność pani, jeśli wolno zapytać?

— Mary Collins!

(Ciąg dalszy nastąpi).